

## ANNA PROSKURA

ur. 1923; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, aresztowanie więzienie na Zamku w Lublinie, ojciec, Tomasz Mazurek, matka, Zofia Mazurek, siostra, Natalia Mazurek, działalność podziemna, rewizja, spacer, cele więzienne, Bernard Lell, przesłuchania, getto, knajpa Grajera

### Aresztowanie i pobyt w więzieniu na Zamku w Lublinie

To było 22 września [19]41, godzina jedenasta w nocy, przyszli Niemcy. Ojciec akurat przyszedł na sobotę i niedzielę z Łopiennika, bo był na wsi tam, w lesie, tam miał jakąś jeszcze dalszą rodzinę i tam go przygarnęli, i tam był właśnie w organizacji. Przyszedł do domu do nas i ktoś podszeptował, że należy do organizacji, że my przecież jesteśmy wszyscy [w organizacji]. Przyszli o jedenastej w nocy aresztować. Ogólnie się mówiło „organizacja”, czy to był WiN, czy to było NSZ, czy to było AK, nieważne – organizacja. Przyszli w nocy, no i pytają o Tomasza Mazurka. Mówimy, że go nie ma, a ojciec się schował w kredensie, bo sobie tak zaplanował, że gdyby nie daj Boże wpadka, to w kredensie. U nas się w ogóle wszystko robiło planowo, w sensie tym, że nawet jak było zaprzysiężenie i cztery czy sześć osób, to były karty rozłożone, zapiski zrobione, że się gra w karty, nawet były naszykowane prześcieradła, żeby ewentualnie od strony łąki, od podwórka się spuścić i uciec, gdyby już poruta była taka nie do wytrzymania, to wszystko było przygotowane i ojciec sobie przygotował ten kredens. Oni zrobili rewizję, wszystkie pokoje posprawdzali i znaleźli ojca.

Dwóch przyszło, tylko dwóch, no i aresztowali, [kazali ojcu pokazać], gdzie śpi, ojciec pokazał, że tam w pokoju, zamknął się Lell, bo to już był wówczas Lell, przyszedł i na dłoni przynosi: „Co ta broń tu robi?”. A ojciec się patrzy: „Jaka broń?”. „No, jaka? Nie widzi pan? Pod poduszką u pana była”. Ojciec mówi: „To nie moja broń”. A my w pisk, zaczęliśmy krzyczeć, płakać, że to podłożył on. Widział, że nie da rady, bośmy go zakrzyczeli do okropności, dobrze. No już: „Ubierać się! Idziemy”, „Gdzie?”. „Ubierać się!”. Idziemy. Sprowadził nas na dół, [wsadził] w samochód, pojechaliśmy – siostra, ja, matka i ojciec. Cztery osoby, on piąty i drugi to już szósty. A brat spał w kuchni na takim łóżku służącej, za taką firaneczką, nie wiem, dlaczego on wtedy spał w kuchni. On miał siedemnaście lat, ale wyglądał na czternaście, taki szczupłutki. Oni

go widzieli, ale uważali, że to jest dziecko. Potraktowali go jako dzieciaka. No i został. Ale on nic nie wiedział wcale. Do tego stopnia, że poleciał do rodziny, za cukrownię do Wacińskich, że nie ma rodziców, że on nic nie wie, on spał. A dozorca dopiero powiedział – bo jak przylecieli, pytali się, bo domyślili się, że musiał dozorca coś tam otwierać – że było gestapo. A potem Królikowska, jedna oddziałowa z Zamku, dała znać Wacińskim, że jesteśmy aresztowani. I stąd rodzina wiedziała i później nam te paczki jako takie przysyłała, bo paczki jak przysyłali, to szykowali duże paczki, a dostawaliśmy dwie, trzy potrawy, bo resztę to likwidowali, nie dawali.

Od razu nas zawieźli na Zamek, już ciemno było, ale już żeśmy się domyślili, że jak zjeżdżamy na Podwale, to na Zamek, no i cieszyłam się bardzo, że nie na pociąg, bo [to] od razu do Oświęcimia, bo blisko kolej przecież jest, na 1 Maja. Miałam możliwość zawsze widzieć, bo naprzeciwko moich okien była łaźnia, w fabryce Wolskiego, i zawsze z Majdanka co sobotę i co niedzielę przyprawdzali Żydów albo w ogóle innych ludzi i kąpali zbiorowo, tam ile, pięćdziesiąt osób, czterdzieści osób, sześćdziesiąt osób. I później na ulicy stali rzędami i gonili ich na dworzec i umytych, czysto wysyłali albo na roboty do Niemiec, albo do Oświęcimia, różnie to było, żeby zarazek stąd nie przenosić do Niemiec, taka pedanteria była u tych Niemców. Więc pojechaliśmy na Zamek, na Zamku oczywiście nas wpuścili i dopiero nas zaczęli rozparcelowywać, ojca od razu z kopyta zabrali, później zabrali matkę i zostawili tylko w pokoju mnie i siostrę. Że oni pojedą jeszcze do sklepu, rewizję robić. No, pojechaliśmy, zrobili rewizję, nic nie znaleźli. Mieli widocznie dany cynk, ktoś ojca zdradził. A ojciec miał w sklepie beczki, założmy, z cyngwajsem czy z minią, tak się nazywają farby, ugier czy coś. To miał pół beczki ugru, troszkę ugru, wstawione radio, na wierzchu płyta, też ugier, zajrzał, no farba, a tam było radio. Tylko że to radio było niekompletne, troszeczkę tam ojciec popstrykał coś, bo później opowiadał, że jak go Lell bił, to przyznał się, że to radio, oni drugi raz jeździli do sklepu, jak już, za parę dni, to radio wyciągnęli, ono było niekompletne. Bo ojca tak bili, że już powiedział, że ma to radio, ale co z bronią, to nie powiedział i nikogo nie zdradziliśmy, żadnego, pomimo że ojciec mdlał, to jednak nikogo nie zdradził.

Wszyscy [byliśmy] osobno, ja osobno, matka osobno, bo żeby nas razem dali, to byłoby nam jakoś różniej, a ja nie wiedziałam, czy siostra żyje, czy ją wywieźli, czy matka żyje, czy ją wywieźli, czy ojciec żyje, nie. Tylko że jak wychodziłyśmy na spacer, bo zawsze na Zamku są spacer, piętnaście minut w jedną, piętnaście w drugą – wychodziło się, jest ten dziedziniec i stoi baszta i tak siadała sobie zawsze oddziałowa, a my sznureczkiem wkoło tej baszty, w jedną stronę, później w drugą stronę. Wyciągała dwie cele czy trzy, wywoływała, otworzyła, na spacer. I myśmy tak chodziły i nie wolno było do siebie się odzywać. Ta Królikowska była na tyle fajna, że wywołała celę moją, matki i siostry. Moją, matki i siostry, a nie drugą po kolei, tak jak zawsze. Po to, żebyśmy mogły się skontaktować. A w jaki sposób? Nie można było rozmawiać, ale jak się idzie w ten sposób i tu jest ta baszta, to jak ja jestem tam, to ona mnie tu nie widzi, więc ja tak [co] jedno okrążenie po trzy osoby sobie tak

przeleciałam, później się znalazłam przy matce i jak już byłam z tyłu, ona mnie nie widziała, bo nie chciałam jej stwarzać [problemów], żeby Niemcy nie zauważyli, bo ona by za mnie była ukarana, ona musiałaby to dostrzec, tak chciałam, żeby ona też nie widziała. I matka pyta: „Hanus, jesteś?”, „Jestem”, „Pytali cię”, „Pytali”, „A co cię pytali? A kiedyś była, ile godzin? A bili cię?”. Później siostra: „Hanka, no jak tam? Byłaś? Co cię pytali? O kogo? O jakie nazwiska?”. Wszystkośmy sobie zawsze powiedziały na tym spacerze i to była taka satysfakcja, że ta Królikowska jest taka fajna kobita, tak nam bardzo dużo pomogła. I z tym zawiadomieniem do rodziny o te paczki, nas dożywili, zawsze to coś znaczyło.

[Siedzieliśmy] w celach, w których było kilkanaście osób. W mojej celi było dziesięć albo dwanaście, nie pamiętam. U matki też, a siostra siedziała też z politycznymi, ale siedziała z taką komunistką jedną okropną, która była sąsiadką naszą na 1 Maja, znały się one obie, to też je, że tak powiem, niewola połączyła, zaczęły tak rozmawiać, bo myśmy tak z nią nie rozmawiały, bo to taka komunistka była zatwardziała, a tutaj jakoś, no, to niedola zawsze łączy ludzi. No i wszyscy osobno, o to chodzi, że osobno.

Bernard Lell był to oficer niemiecki, który aresztował całą rodzinę, przyszedł w nocy, pierwszy raz go [wtedy] zobaczyłam. Potem, za jakiś dzień czy dwa, będąc już na Zamku aresztowana, wzywa mnie, bo taki był zwyczaj, że przychodziła oddziałowa, otwierała drzwi i krzyczała, że ten i ten na zeznanie musi wyjść. I krzyknęła nazwisko moje: „Mazurek Anna, proszę”, i stał Niemiec, podprowadził mnie do kancelarii, przez cały korytarz, patrzę – za stolikiem siedzi Bernard Lell. No, oczywiście nie znałam jego nazwiska, tylko wiedziałam, że to jest Niemiec, który mnie aresztował. A dalej w kąciuku w tym pokoju przy maszynie do pisania siedział drugi Niemiec, w mundurze też. I Bernard mnie zaczął wypytywać, czy znam takie nazwisko, a czy znam Kasprzaka, dużo takich różnych nazwisk, które notabene znałam, bo oni bywali u nas, to byli ludzie z organizacji, ale nie z mojej organizacji, i ani się oni mnie nie ujawniali kim są, ani ja im, tylko przypadkowo. Jeżeli Niemcom chodziło o nich, to znaczy, że coś znaczyli, że byli widocznie w jakiejś organizacji. Kilka nazwisk mi podał, powiedziałam, że tego nie znam, tego nie znam. Później zapytał mnie między innymi, gdzie jest broń, którą mój ojciec posiadał. A ojciec posiadał przed wojną broń piątkę i siódmkę, bo ojciec miał zezwolenie z uwagi na swoją pracę. No, ja mówię, że owszem, była u nas broń i wtedy, kiedy weszło wojsko niemieckie, bo tak istotnie było, to było ogłoszenie na każdym murze, na którym pisali Niemcy i po niemiecku, i po polsku, że jeśli się jest w posiadaniu radia sprawnego, proszę natychmiast zgłosić się i oddać; jeżeli ktoś posiada broń, proszę natychmiast oddać. No więc wszyscy Polacy, w obawie, jedni oddawali, drudzy likwidowali, w różny sposób te sprawy załatwiali. U nas było radio, ale ojciec porozmontowywał to, więc było niekompletne, więc w porządku, nie musieliśmy oddać, ale z bronią był kłopot. Ale myśmy się z ojcem umówili, że gdyby coś, jakaś wpadka była, gdzie ta broń, to ja ją wyrzuciłam na Nowej Drodze, że z tego mostu ja tę broń wyrzuciłam w obecności ojca, poszliśmy, ja

tę broń wyrzuciłam. No, on zaczął się trochę uśmiechać, że to niepewne, że ja mogłam broń do wody rzucić, ja mówię: tak było i tak rzuciłam. O tę broń cały czas mnie molestowali, w sensie językowym. Ale nie mogę powiedzieć – ani mnie nie bił, ani mnie nie szarpał, tylko krzyczał na mnie, taki był dosyć głośny.

To był człowiek wzrostu jakieś 1,76. Taki dosyć korpulentny, nie gruby. Blondyn, ciemny blondyn, ale nie za bardzo ciemny, do góry się czesał. Twarz bardzo sympatyczna, to znaczy rysy miłe, ładne. No i taki był może zalotny trochę, taki szarmancki, w tym sensie. Ale żeby tam od niego jakieś biło zło, bo nieraz jest tak, że człowiek ma w swoim wyrazie twarzy takie zło, [to] nie było tego. Świetnie mówił po polsku, dlatego że on pochodził z Tczewa, był nauczycielem, jego żona też nauczycielka, jego siostra też nauczycielka, całe towarzystwo, że tak powiem. Ale umiał mówić po niemiecku lepiej jeszcze prawie jak po polsku. Ale po polsku no przecież wspaniale mówił. To był Polak, rodowity Polak. Bo tam przecież te strony jak Bydgoszcz, Tczew, to po wojnie się spotkałam, to tam każdy po niemiecku świetnie mówił. Więc i on mówił doskonale. Za jakieś dwie noce, trzy noce – to w nocy wszystko – znowu mnie zrywają, znowu na to zeznanie, znowu Lell siedzi. I znowu ja mu mówię, a tamten pisze na maszynie. Później tamten zwraca się znowu do Lella po niemiecku, że coś tam. To on mnie znowu z innej strony wypytuje, czyli tamten konsultował się z nim, co chcą ode mnie wiedzieć. Ja nie znałam niemieckiego, strasznie mi było przykro, serce mnie ścisnęło, po co mi był francuski, kiedy niemiecki by mi się tak bardzo przydał, bo ci między sobą porozumiewają się, ja mogłam coś załapać, o co im chodzi, a tu nie znałam niemieckiego. Kilka było takich nocnych zrywek, ale nie mogę powiedzieć, że mnie bił, bo przecież było tak, że maltretowali kobiety i mężczyzn, różnie. Mojego ojca to strasznie bił, mojego ojca tak bardzo bił, miał taki pejcz, na końcu miał żelazo i tak ojca tłukł. I ojciec mdlał, było ich zawsze dwóch czy trzech w pokoju, ojciec mdlał, później oni go cucili wodą, wstawał. Przy ścianie stała szafa z półkami, na tych półkach były zapasowe klosze, żarówki i był taki moment, że ojciec stał, i jak on tym pejczem [się zamachnie], wpadł [ojciec] na tę szafę, i z tymi wszystkimi szklami upadł na podłogę. Wzięli wiadro, polali go, otrzeźwiał i Lell, nie wiem, czy on tu użył takiego fortelu i czy on się tym posłużył, bo najprawdopodobniej dzięki temu myśmy wyszli na wolność, nas zwolnili, przecież myśmy nie siedzieli w żadnym obozie, tylko myśmy byli na Zamku. Bo Niemiec się zwrócił do tego faceta i powiedział tak: „Słuchaj, popatrz, wszystko się zważyło na podłogę, a ani jedna żarówka, mając tak cienkie szkiełko, się nie zbiła. Wszystko runęło, gruchnęło na podłogę. Czy nie uważasz, że to jest jakiś znak, że my niepotrzebnie go tu trzymamy, bo on nic winien?”. No, a tamten mówi: „No patrz, rzeczywiście, dziwny zbieg okoliczności, no gdzież to”. No i tym sposobem na pewno myśmy wyszli na wolność. Później było w ten sposób, że jest sobota, otwierają, zgrzyt drzwi i krzyczy Niemiec na cały głos: „Mazurek Hanna na wolność”. To był tak zwany zelpszt, zelpsztoci to byli tacy volksdeutsche w niemieckich mundurach, ale to byli Polacy, oni tak po niemiecku i po polsku trochę mówili. Konsternacja w mojej celi,

kobiety patrzają na mnie, ja mówię: „Mówiłam wam, że ja wyjdę, bo ja mam dentystkę, bo mam założony fleczer, a już jest blisko trzy tygodnie, to ja już muszę wyjść na wolność”. To śmiały się ze mnie, ale mówią: „Jest taki zwyczaj u nas – musimy cię, dziecko, wykopać”. No, ja musiałam stać, każda musiała mnie kopnąć, drzwi się otworzyły, ja idę, ale nie dowierzam, później słyszę „Mazurek Zofia, czyli matkę wywołują, potem „Mazurek Natalia”, siostrę wywołują, patrzę – wszystkie idziemy. Myślę sobie, po co oni nas wołają. A jak on krzyknął „na wolność”, mówię: „Może oszukuje nas”. Idę z taką niepewnością, przychodzimy, stoi Lell i mówi tak: „Proszę tu podpisać”. A ja mówię: „Co ja mam podpisać?”, „No, zobowiązanie, że jak pani wyjdzie z więzienia, to ani mru mru. Nikomu, broń Boże, żadnego słowa, gdzie byłam, co robiłam, jak było, co było, bo inaczej śmierć”. I daje mi, a ja mówię: „A chwileczkę, chwileczkę, a dlaczego to po polsku nie jest napisane?”. „Uch – on na mnie warknął – podpisać to, ale to już”. Ja mówię: „Ja wiem, może ja wyrok podpisuję na siebie”. „Podpisać!”. Wreszcie słyszę z dala, stoi mój ojciec: „Hanusia, podpisz”. „No widzisz, ojciec ci każe podpisać – podpisz” – on do mnie. Podpisałam. No i później patrzę, co oni z nami robią. No, wszyscy tam, siostra podpisała, wychodzimy, patrzymy – ojciec za nami idzie. I wychodzimy na dziedziniec, nie mówimy nic do siebie, bo tam jest taki zwyczaj, że nie wolno rozmawiać, nic, nie wolno, jak mruki. Idziemy do tej bramy, otwierają „zgrzyt, zgrzyt”, otworzyli, wypuścili. Stoimy przed Zamkiem, przed tą bramą, nie dowierzamy. Pytamy, co to się stało. Ale ojciec był tak zbity, tak posiniaczony, tak pokrwawiony, taki, no, nie do poznania człowiek.

22 września nas aresztowali, a chyba 5 października, bo to były dwa tygodnie, czy trzy tygodnie tak jakoś, nas zwolnili, wiem, że sobota była, to była też sobota. To wykopanie takie uroczyste było, Boże kochany... Jak one się cieszyły, że ja wyszłam na wolność, a jak ja się o nie martwiłam, że one zostały.

Tylko nas wypuścili: trzask! trzask! – zamknęli bramę i my stoimy na tej Grodzkiej ulicy, patrzymy: cisza taka. Nie dowierzamy, spoglądamy na siebie, nie widzieliśmy się przecież tyle czasu, jak to? Co to się stało? Ale ojciec mówi: „Nic nie mówić”, bo się bał czy podsłuchu, czy czego, no i dorożkę zawołał. Jak się wychodzi, to po lewej stronie stały dorożki i ten dorożkarz, wiem nawet, jak się nazywał, już zapomniałam teraz, też znajomy ojca, dlatego że ojciec, jak był radnym Lublina, to miał do dyspozycji też i dorożki bezpłatnie czy coś i ten dorożkarz nawet ojca woził, znaliśmy go. Podszedł: „O Boże kochany – mówi – już państwa wiozę. Gdzie, do domu?”. Ojciec mówi: „Nie, do mojego ojca na Graniczną”. Przyjeżdżamy, jest dziadka żona druga, macocha. Składa ręce: „Boże kochany, jesteście na wolności. Dziadka nie ma”. Pyta się ojciec, gdzie dziadek. „Dziadek uciekł. Nie ma, bo tutaj Niemcy byli, buszowali, straszną rewizję robili. Och, Tomeczku kochany, żyjesz”. Tak się cieszyła ta macocha. A okazuje się, że Niemcy, jak nas nie było, zryli cały ogród i szukali tej broni. A ta broń nie była wrzucona do wody, tylko dziadek trzymał kozy i świnkę, żeby się utrzymać, bo przecież nie było nic, i na kartki, różnie to było, nic nie było można dostać. I w chlewiku podkopał tam i w jakiejś tam blaszanej puszcze trzymał tę broń,

oni tego nie znaleźli. No i później oczywiście wróciliśmy wszyscy do domu. Jak jechaliśmy dorożką i ludzie nas na 1 Maja widzieli, to się żegnali, że my żyjemy, bo już fama poszła, bo tam zawsze jak kogoś aresztowali, takie większe aresztowanie, to wszyscy już wiedzieli o tym.

Jak już jesteśmy na wolności, za jakieś półtora tygodnia, dwa tygodnie, godzina dziesiąta wieczór – dzwonek. Patrzymy – wchodzi Lell, sam. Przyszedł do nas Lell, ale w cywilu i mówi tak: „Przepraszam, że przyszedłem, ale przyszedłem w cywilu, nie w mundurze, żeby nie narazić dziewczynek – że Niemcy przychodzą, że się łądaczą z Niemcami, bo by zaraz wyrok wykonali, bo taki był zwyczaj, jeżeli dziewczyna puszczała się z Niemcem, to przyszli, wyczytywali jej wyrok, wyrok przeczytali: albo ogolili ją całą, albo przyszli, rozstrzelali, więc on nie chcąc narażać panienek, przyszedł w cywilu – Po co przyszedłem? Chciałem pana przeprosić, panie Mazurek, za to, że pana tak strasznie maltretowałem. No, ale niestety, to jest praca”. I nic więcej nie powiedział. Słuchamy, co, dlaczego on to... I przyniósł oczywiście mojej matce czekolady kilogram, taka na wagę była czekolada, przyniósł marcepany w koszyczku jakieś tam, kakao, kawę, taki prezencik, bo tych rzeczy nie było, tego się przecież nie jadało, tylko można było popatrzeć przez szybkę [sklepu] dla Niemców. No i posiedział, posiedział: „Przyszedłem po to, żeby ostrzec pana i państwa, żebyście nie mieli nic wspólnego z organizacją, bo jeżeli jeszcze raz wpadniecie, to już świata Bożego oglądać nie będziecie, ostrzegam”. Poszedł. Boże kochany, my mówimy: kto to jest? co to jest? co to za człowiek? Upłynął miesiąc, znowu przychodzi: „Dzień dobry”, znowu przynosi taki jakiś prezencik i do nas – do mnie i do siostry; siostra przecież starsza, już 22 lata czy coś, uśmiecha się do niej, taki miły: „Może coś panie potrzebują? Ja bardzo chętnie z czymś pomogę”. A my bardzo dziękujemy. Wreszcie on mówi: „No tak, bo ja w tej chwili jadę na getto”. Więc ja jego proszę: „Proszę pana, ja mam Żydówkę, mieszka w getcie na Kowalskiej, która przed wojną ode mnie wzięła kilogram wełny, włóczki, żeby mi zrobić sweterek. A czy można by było do niej podjechać i wziąć tę wełnę?”. „A proszę bardzo”. „Ale ja – mówię – nie sama, bo się boję”. No to siostra i jeszcze u mnie był chłopak. Ten chłopak nocował, bo jak godzina policyjna, to już musieli nocować, to już się wtedy nie wypuszczało, był taki gościnny pokój u nas. Wtedy była godzina już dziewiąta wieczór chyba; jedziemy. No, my wszyscy razem, no to jedziemy. Pojechaliśmy, jedziemy na tę Kowalską. Ta oczywiście zaspana wyszła. Poznała mnie, och, Boże, klękała przede mną Żydówka, miała tę włóczkę, oddała mi, wzięłam, ale mówi: „Ale ja muszę państwa ugościć. Ja was zaprowadzę tutaj do takiej knajpki”. I na rogu jak się skręca Lubartowską, Cyrulicza i dalej, skręca się tutaj do PKS-u, na rogu jest taki narożny dom, teraz jest wyburzony ten róg, była knajpa Grajera, Żyd Grajer. On miał knajpę w tym getcie. Później Żydzi go zaszlachtowali, bo on był donosicielem, sprzedawał Żydów. Ten Grajer, jak zobaczył nas, jakśmy weszli, pokłony, do samej ziemi kłaniał się i klękał, szczęśliwy, że raczył odwiedzić [go] Lell. A dowiedzieliśmy się później, że Lell był organizatorem i opiekunem całego getta, więc Żydzi go tam

bali się jak ognia. I ten zaczyna nas częstować, postawił różnego rodzaju likiery i pyta się, co tam jeszcze, czy jakieś ciasteczko, a Lell nie, on tylko może coś plombowanego, bo on się brzydzi, on nic żydowskiego by nie zjadł, taki był przeciwny Żydom. No i my wszyscy już jak na szpilkach siedzimy, żeby to nie była jakaś podpucha, żeby on nas gdzieś tu nie wywiózł. No i zawiózł nas z powrotem do domu, w porządku. Później był jeszcze jakiś trzeci raz, też przyszedł i pytał się, czy my nigdzie z tą organizacją [nie współpracujemy].

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2007-09-26, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Marek Nawratowicz
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"